

Marek Sołtysik

Talent pod presją - przypadek Leopolskiego

Palestra 48/9-10(549-550), 132-136

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

TALENT POD PRESJĄ – PRZYPADEK LEOPOLSKIEGO

Czy to możliwe, żeby czterdziestoosmioletni poważny artysta malarz usiłował mało wyrafinowanym sposobem wyłudzić pokaźną kwotę? Tak było w przypadku Wilhelma Postel de Leopolskiego, który w 1876 roku wysłał ze Lwowa telegram do swego młodszego kolegi, Jana Matejki, pracującego akurat w Krakowie nad kolosalnym *Grunwaldem*. Tak, Leopolski w urzędzie pocztowym nadał ten telegram – ale podszył się pod brata Matejki, Adolfa, który według słów depeszy znalazł się nagle w tarapatkach. Cała sprawa była szyta zbyt grubymi nićmi, żeby podejrzliwy Matejko nie zorientował się, że coś tu nie gra. Niebawem dowody skonfrontował z Adolfem, ten w sądzie lwowskim założył proces przeciwko Leopolskiemu, Leopolski z kolei oskarżył Jana Matejkę o obrazę honoru.

Jak mogło dojść do tak brudnych sprawek w środowisku wybitnych artystów, podejmujących szlachetne tematy? Co mogło się stać temu samemu Leopolskiemu, który trzynaście lat wcześniej, kiedy osiadł w Krakowie i od razu skłócił się ze środowiskiem, publikując w warszawskim „*Tygodniku Ilustrowanym*” ostrą krytykę artystycznych stosunków krakowskich i marnej działalności Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, nie oszczędził wtedy prawie nikogo – i właśnie tylko malarstwu Matejki przyznawał zalety, a malarzowi prorokował wielką przyszłość?

Urodzony w Drohobyczu Wilhelm Postel de Leopolski ukończył prawo na Uniwersytecie Lwowskim, ale zanim podjął studia, utalentowany plastycznie, na przełomie 1847 i 1848 otarł się o Wiedeń, gdzie posiadał podstawy rysunku i malarstwa. Dla sztuki porzucił karierę prawniczą – od 1853 w sumie osiem lat poświęcił studiom malarskim najpierw w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie, następnie w pracowniach mistrzowskich Akademii wiedeńskiej i – po dwunastu latach kariery wolnego artysty! – monachijskiej.

Gdy się tam wybrał na dalsze studia, miał w dorobku najlepszy obraz swojego

życia, znakomite płótno *Zgon Acerna* (ostatnie chwile Sebastiana Klonowica-Acerusa, w lubelskim szpitalu św. Łazarza; konający pięćdziesięcioletni poeta-prorok, autor poematu alegorycznego *Victoria Deorum*, potępionego i spalonego, bliski już nawrócenia, spowiada się podczas rozmowy z jezuitą – i co ciekawe, były dwie wersje tego potężnych wymiarów obrazu: w jednej z nich – zachowanej, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu – scenę obserwuje stojący w głębi słynny wenerolog, nadworny lekarz króla Stefana Batorego, Wojciech Oczko, w drugiej, według świadków, warsztatowo doprowadzonej do szczytów perfekcji, postaci doktora nie ma – ale i nie ma obrazu, ponieważ zaginął w zawierusze wojennej). Mistrzowska kompozycja, przejmujące efekty światłocieniowe, niezrównany realizm przedstawienia – czy trzeba więcej? Nic, tylko zamknąć się w pracowni i tak tworzyć dalej.

Leopolski, który nie był człowiekiem rodzinnym, łaknął widocznie towarzystwa; we Lwowie, gdzie w końcu po Krakowie i Brodach osiadł, już mu było za ciasno?

Wprawdzie po pierwszym półroczu pobytu otrzymał w Akademii pierwszą nagrodę za *Mnicha czytającego*, sprawdził się, miał z czego być dumny, ale nie minął kolejny rok i do Lwowa „wrócił zły, rozgorączkowany, skarżący się na cały świat, niezdolny do żadnej pracy” – wspominał w „*Kraju*” jego dobry znajomy Józef Rogosz.

To było późną jesienią 1875, kilka miesięcy przed dziwnym postępkim względem Matejki. Leopolski – którego śmiały w realizmie przedstawienia modelki portret Karoliny Hoffmanowej, krytycy o jakże różnych gustach, Feliks Kopera i Jerzy Mycielski, okrzykną po latach arcydziełem – nie mógł sobie zagrać miejsca także i we Lwowie. Ciekawe, dlaczego w lwowskim „*Chochliku*” zaczął go inny znakomity portrecista, Jędrzej Bronisław Grabowski (o którym krążył czterowiersz: „Daj mi, mężu, malować, jeśliś jest bogaty, Grabowski twarz wykona, a Matejko szaty”, co dobitnie świadczyło o randze i wziętości portrecisty, nim ten utopił talent w alkoholu)? Grabowski, występując z publicystycznym zacięciem jako „*Kobalt*”, zarzucał Leopolskiemu nie jakieś, broń Boże, niedostatki artystyczne czy warsztatowe, lecz... dobór tematów! Twierdził, że Leopolski, wyborny realista, powinien dać sobie spokój z obrazami historycznymi. Lepiej byłoby dla wszystkich, radził, gdyby artysta przestał na tematyce rodzajowej.

O co chodziło? Skąd nagle u przychylnego ludziom Grabowskiego tyle wysiłku w próbach odwodzenia kolegi od wznioślejszych, patriotycznych regionów? Matejko! To tu trop niepokojów, które szarpały Leopolskim. Twórca *Zgonu Acerna* nie był człowiekiem drażliwym z urodzenia; to środowisko uczyniło zeń mizantropa! Nadwrażliwy artysta z czasem cierpiał tym bardziej, im większe tryumfy święcił Matejko – a tu jeszcze Grabowski, najbliższy przyjaciel ś.p. Grottgera, głośny we Lwowie równie jak Matejko w Krakowie, do tego dołożył taki potężny ciężar. Tak jakby tylko Matejko miał patent malarza dziejów ojczystych. A przecież... od czegoś się zaczęło; ktoś – by tak rzec – był pierwszy.

Pierwszy był na pewno Wilhelm Leopolski. I to nie tylko dlatego, że się urodził o dziesięć lat wcześniej niż Matejko. Pierwszy był ze swoimi obrazami historycznymi, z ich siłą. Nie od rzeczy także przypomnieć, że jeszcze jako student rysował na zlecenie księgarzy i nakładców zabytki Krakowa i sceny z historii Polski, litografowane oraz rytowane w Dreźnie u Hohnicka, a wydawane u Feyertaga w Wiedniu. Tak, a poza tym kiedy trzynastoletni Matejko ze starannością, ale jeszcze niewprawnie, „przerysowywał” ryciny Oleszczyńskiego ze „Śpiewów historycznych” Niemcewicza, Leopolski kończył malować obraz *Izajasz Boner* dla klasztoru Augustianów w Krakowie – a w Matejce nie wiadomo, czy by się ozwał zryw twórczy, pozwalający mu stworzyć te pierwsze i najgenialniejsze obrazy: *Stańczyk* (błazen smutny na wieść o utracie Smoleńska), *Kazanie Skargi i Rejtan – Upadek Polski*, gdyby na kilka lat przed ich powstaniem nie zobaczył obrazu Leopolskiego *Straszna wiadomość*, przedstawiającego szlachecką rodzinę wstrząśniętą rozbiorem Polski.

Kiedy w 1860 Matejko oglądał *Straszną wiadomość* o autorze tego obrazu mawiano „polski Rembrandt”.

Okaże się, że dane mu było poznać zaledwie przedsmak sławy. Był chyba na drodze do szczęścia. Miał narzeczoną, Ludwikę Serwacką, dzięki funduszom hrabiego Władysława Tarnowskiego ze Śniatynki wyjechał studiować dalej w „majsterszuli” Akademii wiedeńskiej... I co stało na tej drodze? Czy tylko mniej pomyślny spłot wątków uczuciowych kazał mu w 1862, po powrocie do kraju, ukryć się w Brodach u brata? Przy okazji – ale to dla potomnych – błysnął jeszcze jedną złotą kartą w historii sztuki jako autor obrazów z życia brodzkich Żydów. *Pro arte*, no tak – ale w życiu było coraz gorzej. Znow sam – jako że racjonalnie rzecz biorąc, sposób bycia prawdziwego artysty, dla którego malarstwo nie jest środkiem do życia, lecz celem, wyklucza zakładanie rodziny – będzie musiał na własną odpowiedzialność stawiać czoło coraz liczniejszym antagonistom.

Leopolski w sensie politycznym nie miał swojego miejsca. Towarzysko w związku z tym niepewny. Środowisko z trudem toleruje ludzi nieokreślonych opcji. Od 1863 mieszkał w Krakowie, ale – o czym wspomniałem – jako krytyk współpracował z prasą spoza kordonu. Trudno powiedzieć, czy poza malarstwem udzielał się patriotycznie. Matejko w owym czasie zbliżony jeszcze do „stańczyków”, wsparł Powstanie Styczniowe datkiem pieniężnym i mówiło się, że pomógł broń przewozić do Goszczy, Jędrzej Bronisław Grabowski dał się sfotografować w stroju powstańczym i pono się bił w oddziale Langiewicza, choć i tu nie ma stuprocentowej pewności. Grottger nie wahał prochu – ale jako świetny rysownik słusznie zawierzył własnej wyobraźni po wsłuchaniu się w relacje świadków i uczestników wydarzeń. A Wilhelm Leopolski? Nawet jeśli (co bardzo możliwe) brał udział w Powstaniu, nie widział powodu, żeby ten fakt rozgłaszać.

Jak „Kobałt” mógł go publicznie odwozić od malowania dziejów Polski? Czyżby chciał się przypodobać Matejce? Czy może z nieznanych nam powodów panowie się dogadali, ustalając, że należy przyhamować kolegę – i wykorzystali do tego po-

stępującą neurastenię Leopolskiego? Nietrudno zrekonstruować taki mniej więcej tok myślenia skrzywdzonego malarza: – Byłem prekursorem pewnego typu historyzoficznego podejścia do malarstwa, które teraz nie mnie, lecz tym młodszym, com im przetała drogę, przyniosło spektakularny sukces.

W następnym pokoleniu solidny krytyk sztuki, Henryk Piątkowski, przyznał Leopolskiemu miejsce po Grottgerze i Matejce.

Do tych młodszych właśnie, wliczając Grabowskiego, Leopolski miał żal. Jako meteor. Niezaradny, przeniósł się w 1866 do Lwowa i tam cichcem przymierał w niedostatku – ze świadomością, że w Krakowie, na tak łatwo oddanym mu placu, mistrz Matejko ma wszystko: sławę, kamienicę z pracownią, żonę, dzieci, uczniów i w planach architekta miejskiego nowy gmach Szkoły Sztuk Pięknych, który stanie na placu nazwanym niebawem imieniem mistrza. Leopolski nie dopuszczał myśli, że to tylko pozory harmonii. Samotny, głodny uczucia i uznania, nie mógł brać pod uwagę tego, że Matejko – zakochany w sobie – wygrał jako coraz głośniejszy malarz, wciąż jednak tracił jako człowiek; otoczony rodziną, krył się przed nią w pracowni, tam była jego męka twórcza, praca ponad siły fizyczne, ale i ekskluzywna samotnia – pograżony w tym stanie nie mógł dostrzec dramatu starszego kolegi (tak jak nie widział dramatu własnej żony, a kiedy jej natarczywa obecność zaczęła mu doskwierać, podstępem umieścił ją w zakładzie dla obłąkanych). Powtarzam: w Leopolskim żal do mistrza Matejki był tym większy, że on sam kiedyś, jako krytyk, wstępującego twórcę *Kazania Skargi* stawiał wysoko ponad nadętymi pseudowielkościami artystycznego Krakowa... a Matejko nie zareagował – widać uważał, że należy mu być ukłon starszego kolegi.

Zatarg z Matejką rozmył się pośród innych wydarzeń; do pojedynku w końcu nie doszło. A przecież bywało groźnie. Marian Gorzkowski, totumfacki Matejki, pisał w swych wspomnieniach o mistrzu, że w latach 1876–1878 Leopolski słał do Matejki listy z pogrozkami i że „za stan swego zdrowia obwinał Matejkę”. Już teraz domyślamy się, że nie jakieś niskie pobudki powodowały Leopolskim, gdy zachował się jak postać z tragifarsy. Usiłował wyłudzić od Matejki 100 złotych reńskich. On, wzięty portrecista, znalazł się aż w takiej potrzebie? On, który dziesięć lat wcześniej otrzymał 600 złotych reńskich stypendium rządu austriackiego za *Zgon Acerna* – za sam fakt, że ten obraz namalował. Honorarium – to sprawa osobna. Swoim, rozpaczliwym czynem Leopolski zamanifestował coś, co powinno dać do myślenia Janowi Matejce. Nurzając się w błocie, poszukiwał perły.

A Matejko po prostu odetchnął, gdy Leopolski w 1878 na stałe wyjechał do Wiednia.

Zły był dla pięćdziesięcioletniego artysty pierwszy rok pobytu nad pięknym modrym Dunajem. Zapadł na chorobę oczu, wobec niemożności pracy i w obliczu niepomyślnych perspektyw stracił poczucie rzeczywistości i był zmuszony poddać się leczeniu w szpitalu psychiatrycznym pod Wiedniem (*notabene* w tym samym, w którym nieco wcześniej zakończył życie inny pensjonariusz, starszy brat Matejki,

Franciszek, doktor historii, pracownik naukowy UJ). Pisał do polskiego ministra w wiedeńskim Parlamencie, Floriana Ziemiałkowskiego: „hańba i ruina moja w Wiedniu (...) czuję, że wszystko dla mnie stracone”. Ziemiałkowski wyciągał go z biedy, znając rangę talentu, zamówił u niego portret – i nie żałował; zapewnił mu protekcję w Wydziale Krajowym. Cóż z tego: do Leopolskiego przylgnęło przezwisko „der Anfänger” – taki, który zaczyna, rozplanowuje i... Dalej wyjaśni świadek zmagania, Józef Rogosz: „płodził olbrzymie pomysły, do których wykonania nie przystępował (...) brał zaliczki, rozpoczynał zamówione prace i nie kończył ich”.

Nie bywał wobec tego; on unikał ludzi, i jego unikano. Umierał samotnie. Znamy tylko datę pochówku Wilhelma Leopolskiego w Wiedniu: 26 stycznia 1892 roku.